LOT NAD KUKUŁCZYM GNIAZDEM

LOT NAD KUKUŁCZYM GNIAZDEM

Dale Wasserman

wg powieści KENA KESEY'A

*

"One Flew Over the Cuckoo's Nest"

*

przekład: BRONISŁAW ZIELIŃSKI

premiera 1978
grudzień

— JEDNA LUB JEDEN, CZYLI — KTOŚ PRZELECIAŁ NAD...

— ... KUKUŁEK, ALE I WARIATÓW...

— ... GNIAZDO, KRYJÓWKA, SIEDLISKO, A TAKŻE WYLĘGARNIA.

Wielki Słownik Angielsko-Polski W-wa 1978

Obsada:

WÓDZ BROMDEN	—	Mieczysław Banasik
PIELĘGNIARZ WARREN	—	Jan Stawarz
PIELĘGNIARZ WILLIAMS	—	Józef Chwiejczak
SIOSTRA RATCHED	—	Barbara Komorowska
SIOSTRA FLINN	—	Ewa Wójcik
CHESWICK	—	Jerzy Ernz
HARDING	—	Tadeusz Zapaśnik
BILLY	—	Henryk Gęsikowski
SCANLON	—	Jacek Polaczek
MARTINI	—	Zbigniew Witkowski
PŁK RUCKLY	—	Marian Nosek
FREDERICKSON	—	Sylwester Woroniecki
RANDLE P. McMURPHY	—	Andrzej Saar
DOKTOR SPIVEY	—	Mirosław Gruszczyński
PIELĘGNIARZ TURKLE	—	Stanisław Poks
CANDY	—	Małgorzata Peczyńska
SANDRA	—	Ewa Wrońska

Reżyseria: ANDRZEJ CHRZANOWSKI

Scenografia: MARCIN STAJEWSKI

Opracowanie muzyczne: ZDZISŁAW HOFFMAN

Sufler: Bożena Kowalczyk

Inspicjent: Julia Ossowska

Ken Kesey

Urodził się w r. 1935 w Colorado. W kilka lat później rodzina jego przeniosła się do Stanu Oregon. Tam też ukończył gimnazjum a potem Uniwersytet w r. 1957. W tym czasie pisał już opowiadania, sztuki jednoaktowe i wiersze, a także powieści. Wiosną 1961 r. zaczyna pisać „Lot nad kukułczym gniazdem". Dla zarobku bierze w tym czasie posadę nocnego pielęgniarza na oddziale psychiatrycznym szpitala w Menlo Park. „Lot nad kukułczym gniazdem" ukazuje się w lutym 1962 r. i Kesey natychmiast zdobywa literacką sławę.

W 1963 r. odbywa się premiera adaptacji „Lotu" Dale'a Wassermana w Nowym Jorku z Kirkiem Douglasem w roli głównej, ale sztuka nie została przyjęta przychylnie.

W 1969 r. zostaje wystawiona z powodzeniem w San Francisco nowa wersja teatralna „Kukułczego gniazda".

W 1975 r. powstaje wg powieści film Miloša Formana. Twórcy filmu zdobyli 5 Oscarów: za reżyserię, za scenariusz, Jack Nicholson za rolę McMurphy'ego i Louise Fletcher za rolę Siostry Ratched.

Dale Wasserman

Początkowo pracował w teatrze jako elektryk, potem reżyser świateł. W wieku lat 21 zaczął pisać dla sceny, później również scenariusze telewizyjne i filmowe. W sumie napisał ponad 50 prac z czego 40 otrzymało wyróżnienia. Najwięcej rozgłosu zyskał jego „Człowiek z La Manczy", a także takie scenariusze jak „Wikingowie", „Kleopatra" czy wreszcie teatralna adaptacja „Kukułczego gniazda".

Przebywanie z chorymi psychiatrycznymi uczy człowieka głębszego spojrzenia na życie i na ludzką naturę; poznając innych, lepiej poznaje się siebie. Przeżycia chorych bowiem, choćby nawet najbardziej zaskakujące, w rzeczywistości są tylko wyolbrzymionymi przeżyciami każdego człowieka.

W medycynie cel jest jasno wyznaczony, chory ma wrócić do zdrowia, mniej więcej wiemy, czym jest zdrowie fizyczne. Znacznie trudniej jest określić zdrowie psychiczne, czy w ogóle coś takiego istnieje, a jeśli istnieje, czy nie zuboża ono psychiki ludzkiej...

Nieraz spojrzenie lekarza, jego uspokajające słowo, gest, dotknięcie ręki przynoszą ulgę choremu, zmniejszają jego lękowe napięcie, a nawet odczuwanie bólu. W ten sposób leczniczo działają też niektóre pielęgniarki; ich działanie jest może ważniejsze, gdyż znacznie częściej niż lekarz stykają się z chorym.

Lęk przed chorobą psychiczną tkwi głęboko w naturze ludzkiej i nawet praca w zawodzie psychiatry nie może go całkowicie zniwelować. /.../ Lęk ten może być maskowany nadmierną opiekuńczością, dyskretną pogardą i lekceważeniem, przesadną tolerancją, która pozbawia chorego wszelkiej odpowiedzialności, a przecież odpowiedzialność jest właśnie cechą świadczącą o ludzkiej godności.

Antoni Kępiński *„Lęk"*, W-wa, 1977,
oraz *„Rytm życia"*, Kraków, 1972

WYCIECZKA

Słońce rozsuwało chmury i rozjaśniało ceglastą fasadę szpitala na kolor pąsowej róży. Lekki wiaterek strącał z drzew resztki liści i układał je schludnie przy drucianej siatce. Na ogrodzeniu raz po raz siadały małe brązowe ptaszki: kiedy deszcz liści uderzał o siatkę, ptaszki odlatywały z wiatrem. Miało się wrażenie, że to liście spadają na siatkę, zamieniają się w ptaki i odfruwają.

Był piękny jesienny dzień, czuło się zapach drzew, słychać było odgłosy dzieciaków kopiących piłkę i warkot awionetek i wszyscy powinni się byli cieszyć, że są w taki dzień na powietrzu. Ale kiedy lekarz poszedł po samochód, my wszyscy staliśmy zbici w milczącą gromadę. Milcząca gromada przypatrująca się ludziom, którzy w drodze do pracy zatrzymywali samochody, żeby obejrzeć tych wszystkich wariatów. McMurphy widział jak bardzo wszyscy czujemy się nieswojo, więc zaczął żartować i przekomarzać się z dziewczyną, żeby wprowadzić nas w lepszy nastrój, ale to jakoś bardziej jeszcze nas przygnębiło. Każdy z nas rozmyślał o tym, jak łatwo byłoby wrócić na oddział i powiedzieć pielęgniarce, że miała rację, że w taki wiatr morze jest za bardzo niebezpieczne.

Zajechał lekarz, wsiedliśmy i ruszyliśmy, ja, Scanlon i Billy w samochodzie z McMurphym i dziewczyną, a Frederickson, Cheswick, Martini i Harding za nami w aucie lekarza. Nikt się nie odzywał.

Może McMurphy nie mógł zrozumieć, dlaczego jesteśmy tacy sztywni, ale wiedział, że nikt nie jest naprawdę mocny, dopóki nie potrafi się śmiać. I tak bardzo starał się nas rozweselić, że zacząłem podejrzewać, że nie dostrzega czegoś innego, co zduszało nam śmiech głęboko w trzewiach.

Przejechaliśmy przez most na rzece Siuslaw. W powietrzu unosiła się lekka mgiełka i wystawiając język pod wiatr czułem smak oceanu, zanim go jeszcze było widać. Wszyscy wiedzieliśmy, że to już niedaleko i nikt się nie odzywał przez całą drogę do przystani.

Kapitan, który miał nas zabrać, miał łysą, metalowo-szarą głowę osadzoną w czarnym golfie jak wieżyczka armatnia na niemieckiej łodzi podwodnej; w ustach trzymał wygasłe cygaro, które skierował na nas. Stał obok McMurphy'ego na drewnianym pomoście i mówił patrząc w morze.

— Nic mnie to nie obchodzi. Napisałem w liście. Jak nie macie zaświadczenia od władz, że za was nie będę odpowiadać, to nie płynę.

Okrągła głowa przekręciła się w wieżyczce swetra celując prosto w nas:

— Słuchaj, taka ferajna na morzu może powyskakiwać za burtę jak szczury. Rodziny mogą mnie podać do sądu i do końca życia ich nie pospłacam. Nie będę ryzykował.

McMurphy, widząc, że i tak nic nie zdziała, przestał przekony-

wać kapitana, obrócił się w miejscu parę razy i przejechał ręką po włosach.

— Którą łódź wynajeliśmy?

— Tamtą. „Skowronka". Ale żaden z was nie postawi na niej nogi, zanim nie będę miał zaświadczenia, że za was nie odpowiadam. Żaden.

— Nie po to wypożyczałem łódź, żebyśmy mieli tu siedzieć przez cały dzień i patrzeć jak się kołysze na wodzie — odparł McMurphy. — Ma pan chyba telefon w tej budzie? Zaraz wyjaśnię tę sprawę.

Wspięli się po schodach na podwyższenie i weszli do sklepiku, zostawiając nas samych, zbitych w ciasną gromadę. Przycumowane łodzie, poruszane wiatrem, ocierały się o opony przybite do pomostu i wydawały dźwięk, jakby się z nas śmiały. Woda chichotała pod deskami pomostu, a tablica z napisem — USŁUGI ŻEGLARSKIE — KPT. BLOCK — piszczała i zgrzytała kołysana przez wiatr na zardzewiałych hakach. Nagle otworzyły się drzwi od sklepiku, McMurphy zbiegł po schodach.

— Właźcie, wszystko załatwione. Łódź gotowa, baki napełnione, przynęta i piwo na pokładzie.

Strzelił Billy'ego w tyłek, zatańczył z radością i zaczął odwiązywać cumy od pachołków.

— Kapitan Block tkwi przy telefonie, musimy szybko odpłynąć, zanim wróci. Na, Scanlon, pokaż co umiesz, spróbuj włączyć silnik. Harding odwiąż linę. Odbijamy.

Wgramoliśmy się na łódkę, gotowi na wszystko. Billy ujął dziewczynę za rękę i pomógł jej wejść na pokład.

Lekarz stał na pomoście i spoglądał niepewnie.

— Może... Może byśmy zaczekali... Kapitan...

McMurphy złapał go za klapy marynarki, podniósł do góry, i przeniósł na pokład jak małego chłopca.

— Zaczekali, doktorze? — powiedział — Niby po co?

Zaczął śmiać się jak pijany, i mówił w nerwowy, podniecony sposób.

— Mamy czekać aż wróci kapitan i powie, że numer, który mu dałem, to numer domu noclegowego w Portland? Jeszcze czego. Hej, Scanlon, weź się do roboty i wyprowadź łódź z przystani! Frederickson! Rusz się, odpłącz tę linę. No, jazda, Scanlon!

Silnik zaterkotał i zgasł, chrząknął jakby sobie czyścił gardło i zawarczał całą mocą.

— Hurrra! Nareszcie. Cała naprzód! Załoga do mnie! Może trzeba będzie odeprzeć abordaż!

Białe strugi dymu i wody tryskały z rufy do morza, kiedy z hukiem otworzyły się drzwi sklepiku i ukazała się głowa kapitana. Ruszyła po schodach, ciągnąc za sobą nie tylko tułów i członki właściciela, ale jeszcze ośmiu facetów. Zbiegli z tupotem i zatrzymali się na samym skraju pomostu, a spieniona fala oblała im nogi. — Scanlon zdążył wykręcić łódź, i przed nami było już tylko morze.

Gwałtowny wstrząs rzucił Candy na kolana: Billy pomógł jej wstać. McMurphy zszedł z mostka i zapytał ich, czyby nie woleli być sami i pogadać o dawnych czasach, więc Candy spojrzała na Billy'ego, ale on tylko pokręcił głową i zaczął się jąkać. McMurphy powiedział, że w takim razie najlepiej będzie, jeżeli on i Candy zejdą pod pokład sprawdzić, czy łódź nie przecieka, a my chyba sobie jakoś damy radę. Stanął przy drzwiach do kajuty, zasalutował i mrugnął okiem, mianował Scanlona kapitanem, a Hardinga pierwszym oficerem, powiedział — Na razie, chłopcy — i zniknął z dziewczyną.

Scanlon skierował łódź na pełne morze i płynęliśmy coraz szybciej, zostawiając daleko za nami przystań i sklepik. Kiedy minęliśmy cypel falochronu i ostatnią czarną skałę, poczułem, że ogarnia mnie wielki spokój, tym większy, im dalej jesteśmy od brzegu.

Przez kilka chwil chłopcy rozprawiali podnieceni o porwaniu łodzi, ale teraz ucichli. Drzwi od kajuty uchyliły się na moment i jakaś ręka wyrzuciła nam skrzynkę z piwem. Billy znalazł otwieracz w pudle z przyborami wędkarskimi, otworzył i dał każdemu po piwie. Piliśmy i patrzyliśmy, jak za nami ląd obsuwa się w morze.

Kiedy byliśmy mniej więcej o milę od brzegu, Scanlon zmniejszył szybkość do, jak to nazwał, „trolingowej" i zapędził czterech chłopców do wędek na rufie, a my przyglądaliśmy się, jak im idzie oporządzanie wędzisk. Harding ustalił, że każdy będzie trzymać wędkę, dopóki nie złapie ryby albo nie straci przynęty, a wtedy odda wędkę następnemu. Scanlon stał przy sterze, spozierał przez zarośniętą solą szybę i wykrzykiwał przez ramię wskazówki, jak należy pozakładać kołowrotki i linki, jak przywiązać śledzie, jak daleko zarzucać i na jaką głębokość.

— Na wędkę numer cztery dajcie ciężarek o wadze dwunastu uncji na lince z zabezpieczeniem, zaraz wam pokażę jak, i wyciągniemy największą rybę z samego dna, jak Boga kocham!

Martini podbiegł do burty, wychylił się, i spojrzał w wodę w ślad za swoją linką.

— O! O, Jezu! — zawołał, ale to, co tam dostrzegł, było za głęboko, żeby ktokolwiek z nas mógł zobaczyć.

Inne łodzie kursowały wzdłuż brzegu, ale Scanlon nie próbował nawet do nich dołączyć. Ciągle tylko je wymijał, parł naprzód, na otwarte morze.

— Nie ma dwóch zdań — powiedział. — Płyniemy tam, gdzie kutry rybackie. Tam są prawdziwe ryby!

Byłem tak samo podniecony jak inni. Przedtem nie miałem zamiaru łowić, ale kiedy zobaczyłem, z jaką siłą łosoś ciska się na końcu żyłki, wstałem z dachu kabiny i włożyłem koszulę, żeby czekać na swoją kolejkę.

Cheswick zaczął przyjmować zakłady na największą i na pierwszą wyciągniętą rybę, po pół dolara od każdego kto stawiał, i ledwie schował forsę do kieszeni, Billy wyciągnął jakieś paskudztwo o wyglądzie dziesięciofuntowej ropuchy z kolcami jak jeż.

— To żadna ryba — powiedział Cheswick. — Z takim czymś nie możesz wygrać.

— T-t-to nie p-p-p-ptak.

— To molwa — powiedział Scanlon. — Całkiem smaczna ryba, jak się jej poobcina brodawki.

— Widzisz. To też ryba. P-p-płać!

Billy dał mi wędkę, wziął forsę i usiadł naprzeciwko kajuty, w której był McMurphy z dziewczyną, i zaczął żałośnie spoglądać na zamknięte drzwi.

— Sz-sz-szkoda, że nie ma wędek dla wszystkich — powiedział opierając się o ścianę kajuty.

Usiadłem trzymając wędkę i patrzyłem jak linka odwija się za łodzią. Oddychałem głęboko i czułem, jak te cztery piwa, które wypiłem, powodują spięcia pomiędzy tuzinami przewodów w moim wnętrzu, a dookoła złote boki fal iskrzyły się w słońcu. Nagle gładkie boki fal zaroiły się od nurkujących ptaków, kotłujących się drobnych rybek i srebrzysto-niebieskich, torpedowych grzbietów łososi, które cięły wodę. Zobaczyłem jak jeden z nich zatrzymał się, zawrócił, i wycelował w punkt oddalony o równo trzydzieści jardów od czubka mojej wędki, gdzie powinien się znajdować mój śledź. Zaparłem się, serce mi waliło jak młot, nagle poczułem szarpnięcie, jakby ktoś rąbnął w wędzisko kijem baseballowym, i żyłka zaczęła się odwijać z kołowrotka tak szybko, że aż mi skwierczała pod kciukiem, czerwona jak krew.

— Użyj prawego holu! — krzyknął do mnie Scanlon, ale to, co

wiem o prawych holach, nie zabiłoby nawet muchy, więc tylko przyciągnąłem mocniej kciuk, aż żyłka znowu stała się żółta, potem zwolniła, i wreszcie stanęła. Obejrzałem się, ale wszystkie wędki skakały tak jak moja, a reszta chłopaków zeskakiwała w podnieceniu z dachu kajuty, i to tylko po to, żeby się nam plątać pod nogami.

— Do góry! Do góry! Wędki do góry! — darł się Scanlon.

— McMurphy, wyjdź, rzuć tylko okiem!

— Cholera, Fred, masz moją cholerną rybę!

— McMurphy, pomóż nam!

Usłyszałem śmiech McMurphy'ego i kątem oka dostrzegłem go w drzwiach kajuty, wcale nie szedł nam na ratunek, a ja sam byłem zbyt zajęty wciąganiem linki, żeby prosić go o pomoc. Wszyscy go wołali, a on ani nie ruszył się z miejsca. Nawet lekarz, który trzymał wędkę głębinową, wołał, żeby mu pomóc. A McMurphy tylko się śmiał. Do Hardinga w końcu dotarło, że McMurphy nie kiwnie nawet palcem, więc sam porwał za oścień i wyciągnął rybę na pokład tak zręcznym i płynnym ruchem, jakby to robił przez całe życie.

Gruba jak moja noga, jak pień! — pomyślałem — większa od wszystkich ryb, jakie złapałem przy wodospadach. Skacze po całym pokładzie jak oszalała tęcza! Chlapie krwią i rozsiewa łuski jak srebrne dziesięciocentówki i boję się, że zaraz wyskoczy za burtę. McMurphy ani się ruszy, żeby pomóc. Martini łapie rybę i przyciska ją do pokładu, żeby nie wyleciała z łodzi. Dziewczyna wybiega z kajuty, krzyczy, że teraz jej kolej, do licha, chwyta moją wędkę, i kiedy ja przywiązuję jej śledzia, wbija we mnie ze trzy razy haczyk.

— Wodzu, niech cię licho, co się tak grzebiesz! O! Palec ci krwawi. Czy ten potwór cię ugryzł? Niech ktoś opatrzy Wodzowi kciuk! Szybko!

Ubrana jest w zieloną kurtkę McMurphy'ego, ale teraz poły rozsunął kołowrotek, i wszyscy na pokładzie widzą, że nie ma już podkoszulka — wszyscy się gapią, mocują ze swoimi rybami, unikają ciosów mojej, która ciągle się ciska po dnie łodzi, a korbka kołowrotka obija się o pierś dziewczyny z taką szybkością, że sutka jest już tylko czerwoną plamą.

Billy skacze dziewczynie na ratunek. Jedyne, co mu przychodzi do głowy, to sięgnąć od tyłu i wcisnąć mocniej wędkę między jej piersi, aż w końcu sam nacisk ciała dziewczyny zatrzymuje kołowrotek. Dziewczyna jest tak wyprężona i jej piersi wyglądają tak jędrnie, że myślę sobie, że gdyby teraz oboje odjęli ręce od wędki, to wędka i tak nie zmieniłaby pozycji.

Zamieszanie ogarnia całą przestrzeń, choć to tylko chwila: facieci wrzeszczą i ciągną i klną, próbują jednocześnie pilnować wędek i patrzeć na dziewczynę, pod nogami trwa krwawa, burzliwa walka Martiniego z moją rybą, żyłki plączą się i pędzą we wszystkie strony, okulary lekarza wplątały się w linkę i dyndają dobre dziesięć stóp za rufą, ryby walą pyskami w lśniące szkła, dziewczyna klnie na czym świat stoi i ogląda swoje gołe piersi, jedną białą, a drugą czerwoną i piekącą, Scanlon nie patrzy gdzie płynie, wpadamy na pień i silnik gaśnie.

A McMurphy pokłada się ze śmiechu. Zatacza się coraz bardziej i bardziej do tyłu, na dach kajuty, a jego śmiech rozbrzmiewa po wodzie — śmieje się z dziewczyny, z chłopaków, ze Scanlona, ze mnie, który ssę zakrwawiony palec, z kapitana na pomoście, z Wielkiej Pielęgniarki i ze wszystkiego. Bo wie, że trzeba się śmiać ze wszystkiego, co boli, żeby zachować równowagę, żeby nie dać się zwariować. Wie, że nie ma nic bez bólu, wie, że mnie piecze kciuk, że jego dziewczyna ma posiniaczoną pierś, że lekarz traci okulary, ale nie pozwala, żeby ból przyćmił śmiech, tak samo jak nigdy nie zgodziłby się na to, żeby śmiech przyćmił ból.

Widzę, że Harding też się zwalił obok McMurphy'ego i też się śmieje. I Cheswick z dna łodzi. Śmieją się sami z siebie, i z nas. A dziewczyna, z wilgotnymi z bólu oczyma, patrzy to na białą pierś, to na czerwoną i też się zaczyna śmiać. I Frederickson, i lekarz, i wszyscy.

Powoli, powoli rósł śmiech, a mężczyźni stawali się coraz więksi i więksi. Przyglądałem się im, byłem jednym z nich, śmiałem się razem z nimi, i jakoś nie z nimi. Nie byłem już na łodzi, byłem wysoko nad wodą, mogłem patrzeć w dół i widzieć siebie i resztę załogi, widzieć łódkę kołyszącą się pośród nurkujących ptaków, McMurphy'ego otoczonego przez swoją grupę ludzi, i obserwowałem ich, nas, jak wzmaga się nasz śmiech, i niesie po wodzie zataczając coraz szersze koła, coraz dalej i dalej, aż w końcu wali się na plażę na brzegu, na plaże na wszystkich brzegach, fala za falą za falą...

W drodze powrotnej McMurphy postanowił, że wrócimy przez mia-

steczko, w którym mieszkał dłużej niż w jakimkolwiek innym miejscu. Zjechaliśmy ze wzgórza Cascade, i nagle, kiedy już myślałem, żeśmy zabłądzili, znaleźliśmy się w miasteczku zaledwie dwa razy większym niż teren naszego szpitala. McMurphy zaparkował przy kępie trzcin i wskazał ręką na drugą stronę.

— Tam. Tak, tamten.

Była szósta wieczór, ciemno, wzdłuż ulicy widziałem drzewa pozbawione liści, wbite w spękany bruk jak drewniane błyskawice i otoczone pierścieniami parków. Szereg żelaznych sztachet sterczał z ziemi odgradzając zapuszczone podwórko, za którym widać było obszerny dom z werandą, rachitycznym ramieniem ciężko opierającym się podmuchom wiatru, żeby nie polecieć wzdłuż ulicy jak puste, tekturowe pudełko. Wiatr rozrzucał krople deszczu, a ja zobaczyłem, że dom ma mocno zaciśnięte powieki a na łańcuchu kłódki, które łomoczą o drzwi.

McMurphy wrzucił bieg.

— Kiedyś tu przyjechałem. Dawno, już dawno temu, tego roku, co to wycofaliśmy się z bigosu w Korei. W odwiedziny. Starzy żyli jeszcze. To był dobry dom.

I właśnie kiedy mówił, tylne światła mijającego nas samochodu oświetliły jego twarz, i w przedniej szybie odbił się grymas, na który sobie pozwolił jedynie dlatego, że sądził, że jest za ciemno, żebyśmy mogli cokolwiek zobaczyć, grymas zmęczenia, napięty i beznadziejny, jakby McMurphy nie miał już czasu na coś, co powinien zrobić...

Ken Kesey
Fragment powieści
One Flew Over
the Cuckoo's Nest
Przekład: Tomasz Mirkowicz
Literatura na świecie nr 6 /62/ 1976 r.

Fragment przekładu powieści, zamieszczonego w „Literaturze na świecie", opracowano uwzględniając zmiany jakie wprowadził adaptator powieści, Dale Wasserman, przenosząc ją na scenę, a dotyczą one przede wszystkim wymiany niektórych postaci biorących udział w wycieczce.

Szczupłość programu wymagała także dokonania dość poważnych skrótów.

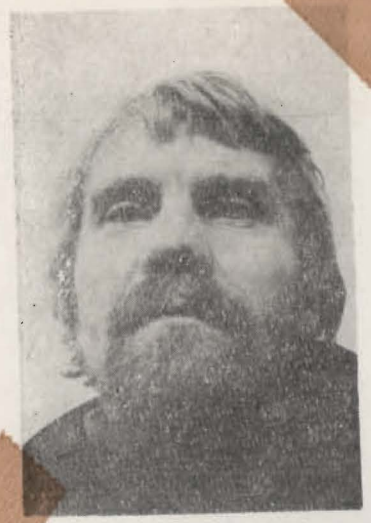

TEATR WSPÓŁCZESNY W SZCZECINIE

Dyrektor i Kierownik artystyczny
Maciej Englert
Z-ca Dyrektora
Kazimierz Krzanowski
Kierownik literacki
Jadwiga Adamowicz

Wydawca:
Teatr Współczesny w Szczecinie
Redakcja programu:
Jadwiga Adamowicz
Opracowanie graficzne:
Marcin Stajewski
Zdjęcia:
Marek Czasnojć
Opracowanie techniczne:
Wacław Kasner
Cena zł. 14,—
SZGraf. 1901/I/Ad 3625, A3/1282

BEZPŁATNE

ZESPÓŁ TECHNICZNY:

Kierownik techniczny
Włodzimierz Bojakowski

Światło
Kazimierz Krzanowski

Główny elektryk
Andrzej Olenderek

Akustyk
Ryszard Szwed

Brygadier Sceny
Mieczysław Witkowski
Brunon Melkis

Rekwizytor
Krystyna Zajdzińska

Pracownia malarska
Michał Tuszyński

Pracownia fryzjerska
Renata Szwed

Pracownia krawiecka
Jan Pakuła

Pracownia tapicerska
Stanisław Falkowski

Pracownia ślusarska
Mieczysław Miśkowiec

Pracownia stolarska
Leon Białachowski

Pracownia szewska
Wiesław Pietrzak